

Na poniższą opowieść składają się rozmaite dokumenty, ułożone w taki sposób, aby czytelnik mógł krok po kroku prześledzić następstwo zdarzeń i zrozumieć ich sens. Pominęto wszystko, co zbędne, by opis zdarzeń, które współczesnemu odbiorcy mogą się wydać nieprawdopodobne, wybrzmiał jako wierna relacja tego, co rzeczywiście zaszło. Co istotne, nie opieramy się na późniejszych wspomnieniach, lecz na zapiskach sporządzanych na bieżąco – ukazujących wypadki tak, jak widzieli je ci, którzy je notowali, i tylko w granicach tego, co mogli wówczas wiedzieć.

ROZDZIAŁ I

DZIENNIK JONATHANA HARKERA (*prowadzony stenografią*)

3 maja. Bystrzyca. Wyjechałem z Monachium 1 maja o 20.35, a do Wiednia dotarłem nazajutrz o świcie. Według rozkładu powinniśmy byli przyjechać o 6.46, lecz pociąg miał niemal godzinne opóźnienie. Samego Budapesztu właściwie nie zdążyłem zobaczyć: mignął mi tylko za oknem wagonu, a krótki spacer po ulicach pozwolił mi poznać go zaledwie powierzchownie. Nie chciałem oddalać się od dworca – przybyliśmy tu spóźnieni, a pociąg miał odjechać niemal punktualnie.

Miałem wrażenie, że opuszczamy Zachód i wkraczamy na Wschód. Gdy zaś przejechaliśmy przez najbardziej wysunięty na zachód z owych wspaniałych mostów nad Dunajem – rzeką nabierającą tu szlachetnej szerokości i głębi – odniosłem wrażenie, że wjeżdżamy do krainy wciąż noszącej ślady tureckiego panowania.

Wyruszyliśmy dość wcześnie, a do Koloszwaru dotarliśmy dopiero po zmroku. Na noc zatrzymałem się w hotelu Royal. Na obiad – czy właściwie na późną kolację – podano mi kurczaka przyrządzonego po tutejszemu, z czerwoną papryką. Był wyborny, choć nadzwyczaj rozbudzał pragnienie. (Zapamiętać: zdobyć przepis dla

Miny). Zapytałem kelnera, co to za potrawa. Odrzekł, że nazywa się *paprika hendl*, a że jest daniem narodowym, u stóp Karpat powinienem móc dostać ją wszędzie. Moja skromna znajomość niemieckiego okazała się w tej sytuacji zaskakująco przydatna; doprawdy, nie wiem, jak poradziłbym sobie bez niej.

Kiedy jeszcze przebywałem w Londynie i miałem nieco wolnego czasu, odwiedziłem Muzeum Brytyjskie; w tamtejszej bibliotece studiowałem książki o Transylwanii i mapy tej krainy – uznałem, że powinienem zdobyć przynajmniej podstawową wiedzę o tym miejscu, skoro mam prowadzić interesy z tamtejszym arystokratą. Dowiedziałem się, że okolica, którą mi wskazano, leży na krańcach wschodu, tam, gdzie stykają się trzy krainy: Transylwania, Mołdawia i Bukowina. To samo serce Karpat – jeden z najdzikszych i najmniej poznanych zakątków Europy. Nie zdołałem jednak natrafić na żadną mapę ani na jakiegokolwiek opracowanie, które wskazywałyby dokładne położenie zamku Draculi (tak brzmi nazwisko hrabiego, z którym mam się spotkać), gdyż nie istnieją jeszcze mapy tej części świata, które można by zestawzić z publikacjami naszego brytyjskiego urzędu kartograficznego. Dowiedziałem się natomiast, że Bystrzyca, pocztowe miasteczko, o którym wspomniał mi hrabia Dracula, jest dość dobrze znane. Zapisuję tu kilka uwag – być może odświeżą mi pamięć, kiedy będę zdawał Minie relację z podróży.

Transylwanię zamieszkują cztery wyraźnie odrębne ludy: na południu Sasi siedmiogrodzcy, a pośród nich Rumuni, uważający się za potomków Daków; na zachodzie Madziarzy; na wschodzie zaś i północy Szeklerzy. Wybieram się właśnie do tych ostatnich, którzy twierdzą, że wywodzą się od Attyli i Hunów. Być może mają słuszość, skoro – jak utrzymują – gdy Madziarzy podbijali ten kraj w XI wieku, Hunowie byli już tu osiadli.

Czytałem, że w łuku Karpat zgromadziły się wszystkie znane światu zabobony, jakby miejsce to było samym centrum jakiegoś wiru wyobraźni. Jeśli to prawda, czeka mnie pobyt co najmniej intrygujący (Zapamiętać: wypytać hrabiego o miejscowe wierzenia).

Nie spałem dobrze, choć łóżko było całkiem wygodne: przez całą noc dręczyły mnie osobliwe sny. Być może to przez psa, który wyl pod moim oknem, a być może przez paprykę, po której wypilem do dna całą karafkę wody, a mimo to nie zdołałem ugasić pragnienia. Dopiero nad ranem zapadłem w sen. Wyrwało mnie z niego uporczywe łomotanie do drzwi, musiałem więc spać naprawdę twardo.

Na śniadanie znów podano mi paprykę, a także coś w rodzaju kleiku z mąki kukurydzianej, który nazywali *māmāligā*, oraz bakłażan nadziewany farszem mięsnym f– znakomitą potrawę o nazwie *impletata* (Zapamiętać: koniecznie zdobyć przepis i na to danie.). Musiałem się spieszyć, bo pociąg, przynajmniej według rozkładu, odjeżdżał tuż przed ósmą. Mimo że znalazłem się na stacji już o 7.30, ponad godzinę przesiadziałem w wagonie, zanim wreszcie ruszyliśmy. Zdaje mi się, że im dalej na wschód, tym mniej obowiązuje punktualność na kolei. Ciekaw jestem, jak się rzeczy mają w Chinach.

Cały dzień jechaliśmy przez kraj pełen najrozmaitszych odmian piękna. Co pewien czas mijaliśmy miasteczka i zamki wzniesione na stromych wzgórzach, jak gdyby żywcem przeniesione z miniatur w dawnych rękopisach; potem towarzyszyły nam rzeki i strumienie, po obu stronach obramowane szerokimi, kamienistymi brzegami, jakby często występowały z koryta podczas wielkich powodzi. Trzeba naprawdę ogromu wartkiej wody, by tak oczyścić i wygładzić dno i brzegi koryta rzeki.

Na każdej stacji zbierały się grupki, a niekiedy wręcz tłumy ludzi, odziane w stroje najrozmaitszego kroju. Niektórzy wyglądali zupełnie jak nasi chłopci albo jak ci, których spotykałem, podróżując przez Francję i Niemcy: krótkie kaftany, okrągłe kapelusze, spodnie z samodziąłu. Inni prezentowali się znacznie bardziej malowniczo. Kobiety z daleka wydawały się urodziwe, lecz złudzenie pryskało, gdy podeszło się bliżej – ich sylwetki sprawiały bowiem wrażenie osobiwie niezgrabnych. Wszystkie panie nosiły suknie z okazałymi białymi rękawami, a większość miała szerokie pasy, przy których, jak przy kostiumach baletowych, powiewały liczne wstążki i paski materiału; nietrudno było się domyślić, że pod spodem mają jeszcze halki. Najbardziej osobliwymi ludźmi, jakich przyszło nam oglądać, byli Słowacy. Na tle innych wydawali się najbardziej dzicy: nosili wielkie kapelusze o szerokich rondach, obszerne, workowate spodnie koloru przybrudzonej bieli, białe lniane koszule oraz ogromne, ciężkie skórzane pasy – niemal na szerokość stopy – gęsto nabijane mosiężnymi ćwiekami. Mieli wysokie buty, w które wpuszczali nogawki spodni, a do tego długie czarne włosy i bujne czarne wąsy. Byli niezwykle malowniczy, nie sprawiali natomiast wrażenia ludzi szczególnie przyjaznych; na scenie bez trudu można by ich wziąć za jakąś wschodnią bandę zbójców z dawnych czasów. A jednak mówiono mi, że są bardzo łagodni; sam natomiast odniosłem wrażenie, iż ta „łagodność” jest po prostu brakiem wrodzonej pewności siebie.

Było już po zmroku, kiedy dotarliśmy do Bystrzycy – osobiwie ciekawego, starego miasta. Leży ono właściwie na pograniczu: to stąd Przełęcz Borgo prowadzi w głąb Bukowiny. Nic więc dziwnego, że jego dzieje były burzliwe i że miasto do dziś nosi wyraźne ślady tamtych czasów. Pięćdziesiąt lat temu nawiedziła je seria

wielkich pożarów, które pięciokrotnie obróciły znaczną część miasta w ruinę. Z kolei na początku XVII wieku Bystrzyca wytrzymała trzytygodniowe oblężenie i straciło trzystaście tysięcy ludzi; liczba ofiara wojny jeszcze wzrosła przez głód i choroby.

Hrabia Dracula polecił mi zatrzymać się w hotelu „Złota Korona”, który ku swojej wielkiej radości odnalazłem bez trudu. Okazał się miejscem zupełnie staroświeckim – a właśnie na tym mi zależało, bo pragnąłem poznać jak najwięcej miejscowych obyczajów.

Najwyraźniej spodziewano się mojego przyjazdu. Ledwie zbliżyłem się do wejścia, stanęła przede mną pogodna starsza kobieta ubrana w strój typowo chłopski: białą koszulę i długi, podwójny fartuch, opadający z przodu i z tyłu. Uszyty z barwnej tkaniny, przylegał do ciała tak ściśle, że niemal raził śmiałością. Kiedy podszedłem bliżej, skłoniła się i zapytała:

– Pan z Anglii?

– Tak – odparłem. – Jonathan Harker.

Uśmiechnęła się i powiedziała coś do starszego mężczyzny w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, który stał tuż za nią w progu. Zniknął na chwilę, po czym wrócił z listem tej treści:

Szanowny Panie, witam w Karpatach. Niecierpliwie oczekuję pańskiego przyjazdu. Proszę dziś dobrze wypocząć. Jutro o trzeciej odjeżdża dyliżans do Bukowiny; miejsce zostało już dla pana zarezerwowane. Na Przełęczy Borgo będzie czekał mój powóz, który zawiezie pana do mojej siedziby. Mam nadzieję, że podróż z Londynu minęła pomyślnie i że pobyt w tej pięknej krainie okaże się dla pana przyjemny.

*Z wyrazami szacunku
Dracula*

4 maja. Okazało się, że mój gospodarz otrzymał od hrabiego list z poleceniem, by zapewnić mi najlepsze miejsce w dyliżansie. Kiedy jednak próbowałem dowiedzieć się od tego pierwszego czegoś więcej, nagle stał się powściągliwy i zaczął udawać, że nie rozumie mojego niemieckiego. A przecież do tej pory rozumiał mnie bez najmniejszego trudu – czy przynajmniej odpowiadał tak, jakby doskonale pojmował każde moje pytanie. Teraz zaś w odpowiedzi na moje słowa on i jego żona – wspomniana już starsza kobieta, która mnie powitała – wymienili przełknięte spojrzenia. Gospodarz wykrztusił tylko, że wraz z listem przyszły pieniądze, i na tym porzucił. Gdy zapytałem, czy zna hrabiego Draculę i czy może cokolwiek powiedzieć o jego zamku, małżonkowie przeżegnali się, a potem, powtarzając, że nic nie wiedzą, stanowczo odmówili dalszej rozmowy.

Do odjazdu pozostawało już tak mało czasu, że nie zdążyłem wypytać nikogo innego. Wszystko spowijała atmosfera tajemnicy, która zamiast mnie uspokajać, tylko potęgowała moje obawy.

Tuż przed moim wyjazdem starsza kobieta weszła do mojego pokoju i zawołała drżącym głosem:

– Czy naprawdę musi pan jechać?! Och, młodzieńcze... czy naprawdę musi pan jechać? – Była tak poruszona, że mieszała resztki niemieckiego, jakie jeszcze pamiętała, z jakimś językiem, którego w ogóle nie znałem. Aby pojąć choć część tego, co mówiła, musiałem zasypywać ją pytaniami. Kiedy oznajmiłem, że muszę natychmiast wyjść, bo mam do załatwienia sprawę wielkiej wagi, spytała znowu: – Czy wie pan, jaki dziś dzień?

Odpowiedziałem, że czwarty maja, lecz ona pokręciła głową i powtórzyła:

– Och, tak, wiem, wiem... Ale czy pan wie, co to za dzień?

Gdy odparłem, że nie rozumiem, mówiła dalej:

– To przecież wigilia dnia Świętego Jerzego. Naprawdę pan nie wie, że tej nocy, gdy zegar wybije północ, wszelkie zło tego świata zyskuje pełną swobodę działania? Czy pan w ogóle zdaje sobie sprawę, dokąd i po co pan jedzie?

Była tak roztrzęsiona, że nie zdołałem jej uspokoić. W końcu padła przede mną na kolana i zaczęła błagać, żebym nie jechał – a jeśli już, to abym przynajmniej odczekał dzień lub dwa, zanim wyruszę w drogę. Było to nedorzeczne, a mimo to poczułem niepokój. Czekala mnie jednak praca i nie mogłem dopuścić, by cokolwiek mi w niej przeszkodziło. Staralem się więc kobietę uspokoić i powiedziałem z całą powagą, na jaką było mnie stać, że jestem jej wdzięczny, lecz obowiązek każe mi jechać. Podniosła się, otarła łzy, po czym zdjęła z szyi krucyfiks i mi go podała. Nie wiedziałem, jak powinienem się zachować. Jako człowiek wychowany w Kościele anglikańskim, od dziecka przywykłem patrzeć na podobne gesty niemal jak na przejaw bałwochwalstwa. Z drugiej jednak strony odmówić starszej pani, która dobrze mi życzyła i była tak wzburzona, wydawało się czymś wyjątkowo nieuprzejmym. Widocznie dostrzegła moje wahanie, bo zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zawiesiła mi krucyfiks na szyi i szepnęła:

– Przez wzgląd na pańską matkę. – A potem opuściła pokój.

Zapisuję te słowa, czekając na dylizans, który się – jakżeby inaczej – spóźnia; krucyfiks zaś wciąż spoczywa na mojej piersi. Nie wiem, czy to wpływ lęku staruszki, tutejszych upiornych obyczajów, czy może obecność samego krucyfiks, lecz czuję niezwykle niepokój. Jeśli to miałby być mój ostatni zapis, niech posłuży za pożegnanie. O, nadjeżdża dylizans!

5 maja. Zamek. Poranny mrok już ustąpił; słońce wzniosło się wysoko nad daleki horyzont. Linia widnokręgu wydaje się poszarpana – nie wiem, przez drzewa czy przez wzgórza – bo wszystko leży tak daleko, że rzeczy wielkie i małe zlewają się w jedno. Nie czuję senności, a ponieważ nie wolno mnie budzić, nie pozostaje mi nic innego, jak pisać, aż wreszcie opadną mi powieki. Mam wiele do zanotowania, a rzeczy, które się wydarzyły, są doprawdy osobliwe. Żeby więc nikt nie pomyślał, iż w Bystrzycy przed drogą objadłem się ponad miarę i że stąd pochodzą moje omy, zapiszę dokładnie, co podano mi na kolację. Do stałem tak zwany zbójecki szaszłyk – kawałki boczku, cebuli i wołowiny przyprawione czerwoną papryką, nadziane na patyczki i pieczone nad ogniem; proste danie, podobne do ulicznego jadła, jakie można spotkać w Londynie! Do tego podano złociste wino z Mediaszu. Ma ono osobliwy, lekko szczypiący posmak, wyraźnie wyczuwalny na języku; nie jest on nieprzyjemny, choć z początku zaskakuje. Wypiłem tylko dwa kieliszki.

Gdy wsiałem do dyliżansu, woźnica nie siedział jeszcze na koźle. Stał obok gospodyni zajazdu i rozmawiał z nią półgłosem. Najwyraźniej mówili o mnie, bo raz po raz zerkali w moją stronę. Po chwili dołączyli do nich ludzie siedzący na ławie przed wejściem – określano ich tu słowem oznaczającym mniej więcej „roznosiciele wieści”. Słuchali uważnie, a potem spoglądali na mnie z wyraźnym współczuciem. Z ich rozmów raz po raz wyławiałem obce, osobliwe słowa; w tłumie byli bowiem ludzie różnych narodowości. Wyjąłem więc z torby słownik wielojęzyczny i ukradkiem zacząłem sprawdzać znaczenie tych wyrazów. Muszę przyznać, że nie wróżyło to nic dobrego. Pojawiały się tam słowa takie jak *ördög* – diabeł, *pokol* – piekło,

strigoaica – czarownica, a także *vrolok*¹ i *vlkoslak* – dwa określenia odnoszące się do tej samej istoty; pierwsze z nich jest wyrazem słowackim, drugie serbskim, oba zaś oznaczają coś, co można rozumieć jako wilkołaka lub wampira. (*Zapamiętać*: muszę zapytać hrabiego o te przesady.)

Gdy ruszyliśmy, ludzie zbici w tłum zgromadzony przed wejściem do gospody – a zdążył już urosnąć do pokaźnych rozmiarów – jeden po drugim kreślili w powietrzu znak krzyża i wyciągali ku mnie dwa wyprostowane palce. Z niemałym trudem nakłoniłem jednego ze współpasażerów, by wyjaśnił mi znaczenie tego gestu. Z początku nie chciał mówić, lecz gdy dowiedział się, że jestem Anglikiem, wyznał w końcu, że w ten sposób chronią się przed złym urokiem. Nie był to zbyt pomyslny znak dla człowieka, który jechał w nieznane, by spotkać kogoś całkiem mu obcego. A jednak było w tych ludziach coś ujmującego: tyle serdeczności, tyle smutku i tak szczerą troskę, że mimo wszystko poczułem wzruszenie. Nigdy nie zapomnę ostatniego widoku dziedzińca gospody i malowniczego tłumu zgromadzonego wokół szerokiej bramy. Wszyscy żegnali nas znakiem krzyża, a za nimi widać było bujną zieleń oleandrów i drzewek pomarańczowych w wielkich zielonych donicach, ustawionych pośrodku dziedzińca. Nasz woźnica, ubrany w szerokie lniane portki – tutaj zwane *gotza* – które szyte są tak, by zasłaniały niemal cały przód kozła powozu – trzasnął z rozmachem batem nad czterema drobnymi końmi zaprzężonymi obok siebie i ruszyliśmy w drogę.

Wkrótce, pochłonięty pięknem krajobrazu przesuwającym się za oknami, przestałem myśleć o dręczących

¹ To błąd Stokera polegający na zniekształceniu słów rosyjskich. W języku słowackim taki wyraz nie istnieje (przyp. red.).

mnie lękach – choć sędzę, że gdybym rozumiał język, a raczej języki, którymi porozumiewali się moi współpasażerowie, nie potrafiłbym tak łatwo od tych lęków uciec. Przed nami rozciągała się zielona, łagodnie opadająca kraina, pełna lasów i zagajników, gdzieś niedaleko poprzecinana stromymi wzgórzami, zwieńczonymi kępami drzew lub gospodarstwami, które ku drodze zwracały ślepą ścianę szczytową. Wszędzie rosły kwitnące drzewa owocowe – jabłonie, śliwy, grusze i wiśnie. Gdy mijaliśmy je po drodze, widziałem pod nimi zieloną trawę usianą opadłymi płatkami. Trakt wiódł przez zielone wzgórza krainy zwanej tutaj *Mittel Land*. Raz zniknął z oczu, szerokim łukiem obchodząc porośniętą trawą wzniesienie, innym razem ginął w cieniu rosnących po obu jego stronach sosnowych zagajników, które miejscami spływały po stokach niczym języki ognia.

Droga była wyboista, a jednak pędziliśmy nią tak, jakbyśmy frunęli, w gorączkowym pośpiechu. Wówczas nie rozumiałem jeszcze, skąd ta nagłość, lecz woźnica najwyraźniej nie zamierzał tracić ani chwili, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do Przełęczy Borgo. Powiedział mi, że latem droga ta jest doskonała, lecz po zimowych śniegach nie została jeszcze naprawiona. Nie było to zresztą niczym niezwykłym w Karpatach, gdzie od dawna panował zwyczaj, by dróg nie utrzymywać w zbyt dobrym stanie: dawni gospodarowie unikali napraw, obawiając się, że Turcy uznałyby je za oznakę przygotowań do ściągnięcia obcych wojsk, a tym samym przyspieszyliby wybuch wojny, która i tak niemal bez przerwy wisiała w powietrzu.

Za zielonymi, łagodnie pofalowanymi wzgórzami *Mittel Land* wznosiły się rozległe, zalesione stoki, pnące się aż ku wyniosłym urwiskom samych Karpat. Ciągnęły się po obu stronach drogi, a popołudniowe słońce oblewało je pełnym blaskiem, wydobywając całe bogactwo

barw tego zachwycającego pasma: głęboki błękit i purpurę w cieniu szczytów, zielen zaś i brąz tam, gdzie trawa mieszała się ze skałą. Dalej rozpościerał się nieskończony łańcuch poszarpanych urwisk i spiczastych turni, które stopniowo ginęły w oddali, ustępując miejsca wyniosłym, ośnieżonym szczytom. Tu i ówdzie w zboczach gór otwierały się wielkie rozpadliny, w których, gdy słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi, raz po raz błyskała biel spienionej, spadającej wody. Kiedy okrążając u stóp wzgórze, nagle ujrzelśmy wysoki, ośnieżony szczyt, który wraz z dalszą podróżą krętą drogą zdawał się wyrastać wprost przed nami, jeden z moich towarzyszy chwycił mnie za ramię.

– Spójrzcie! *Isten széke!*² – zawołał i przeżegnał się z nabożną czcią.

Jechaliśmy dalej tą długą, zdawałoby się bezkresną drogą. Słońce za naszymi plecami coraz niżej chyliło się ku zachodowi, a wokół nas gęstniały pełnzące cienie wieczoru. Najdobitniej świadczył o tym ośnieżony szczyt, który wciąż jeszcze chwycił ostatnie promienie i zarzył się delikatnym, chłodnym różem.

Tu i ówdzie mijaliśmy Czechów i Słowaków w barwnych, malowniczych strojach; od razu uderzyło mnie, jak powszechnie występuje wśród nich wole. Przy drodze stały krzyże i ilekroć je mijaliśmy, moi towarzysze odruchowo czynili znak krzyża. Co pewien czas widywaliśmy też chłopca lub dziewczynkę klęczących przed przydrożną kapliczką. Nawet nie odwracali głów, gdy przejeżdżaliśmy – jakby bez reszty oddawali się modlitwie i całkowicie odcinali się od świata.

Wszystko wokół było dla mnie nowe. Zdumiewały mnie choćby stogi siana suszącego się na drewnianych stelażach, a także przepiękne skupiska brzoź, których

² Boże miejsce (węg.).

białe pnie migotały srebrzyście pośród delikatnej zieleni liści. Co jakiś czas mijał nas *leiterwagen* – zwykły chłopski wóz drabiniasty o długiej, giętkiej konstrukcji, pomyślanej tak, by łatwiej znosiła wyboje i koleiny. Na każdym z tych pojazdów siedziała gromadka chłopów wracających do domów: Czesi ubrani na biało i Słowacy w barwnych kozuchach; ci ostatni trzymali zakończone toporkiem kije, długie niby lance.

Wraz z nadejściem wieczoru zrobiło się przenikliwie zimno, a gęstniejący zmierzch zaczął zlewać drzewa – dęby, buki i sosny – w jedną ciemną, mglistą masę. Tylko w dolinach, głęboko wrzynających się między zbocza wzgórz, gdy wspinaliśmy się ku przełęczy, czarne świerki raz po raz odcinały się wyraźnie na tle śniegu, który długo jeszcze nie topniał. Niekiedy, gdy jechaliśmy drogą wiodącą przez sosnowy bór, mrok wywoływał wrażenie, że las coraz ciaśniej otacza nas ze wszystkich stron, a wielkie płyty szarości zalegające miejscami na drzewach wprawiały nas w osobliwy uroczysty nastrój. Wzmacniało to myśli i ponure fantazje, które zrodziły się wcześniej tego wieczoru, gdy gasnące słońce rzucało ostre, nienaturalne światło na widmowe chmury. Te w Karpatach zdają się bez ustanku snuć się po dolinach.

Bywało, że wzgórza piętrzyły się tak stromo, iż mimo pośpiechu woźnicy konie i tak musiały wspinać się w ślimaczym tempie. Miałem ochotę wysiąść i przejść kawałek pieszo, jak czynimy to u nas, lecz woźnica nie chciał o tym nawet słyszeć.

– Nie, nie – powiedział. – Tędy chodzić nie wolno. Psy są zbyt dzikie – dodał po chwili tonem, który miał sugerować, że to ponury żart. Odwrócił się przy tym, jakby liczył na uśmiechy pozostałych. – Przed snem czeka pana jeszcze niemało podobnych atrakcji.

Zatrzymał się tylko raz, i to na krótką chwilę, żeby zapalić lampy.

Gdy zapadł zmrok, wśród pasażerów wyraźnie zapanało poruszenie. Jeden po drugim zagadywali woźnicę, jakby chcieli przynaglić go do jeszcze szybszej jazdy. Ten zaś bez cienia litości smagał konie długim biczem, a dzikimi okrzykami dodawał im animuszu i zmuszał je do jeszcze większego wysiłku.

W mroku zamajaczyła przed nami szarawa luna, jak gdyby wzgórza rozstępowały się, tworząc wąską szczelinę. W powozie zrobiło się jeszcze niespokojniej; rozkołysany dyliżans podskakiwał na ciężkich skórzanych resorach i miotał się niczym łódź na wzburzonym morzu. Musiałem trzymać się go z całych sił. Wkrótce jednak droga stała się równiejsza i można było odnieść wrażenie, że pędzimy, niemal nad nią szybując. Góry po obu stronach przybliżały się, ciemniały i pochylały ku nam. Wjeżdżaliśmy na przełęcz Borgo.

Współpasażerowie zaczęli jeden po drugim wciskać mi do rąk podarki. Czynili to tak natarczywie i z taką powagą, że odmowa nie wchodziła w rachubę. Były to rzeczy doprawdy osobliwe i bardzo różne, lecz każdą ofiarowywano w prostej, szczerzej wierze – z życzliwym słowem, błogosławieństwem i z tą dziwną mieszaniną gestów podszytych lękiem, którą widziałem już przed hotelem w Bystrzycy: znakiem krzyża i gestem mającym chronić przed złym urokiem.

Jechaliśmy dalej, a woźnica się pochylił. Pasażerowie po obu stronach dyliżansu wyglądali z okien i z napięciem wpatrywali się w ciemność. Łatwo było dostrzec, że dzieje się coś ważnego albo że wszyscy czegoś wypatrują, lecz choć pytałem kolejnych podróżnych, nikt nie chciał udzielić mi choćby najdrobniejszego wyjaśnienia. To poruszenie trwało jeszcze jakiś czas, aż wreszcie ujrzeliśmy przed sobą wylot przełęczy od strony wschodniej. Nad nami kłębiły się ciemne chmury, a w powietrzu wisiała przytłaczająca zapowiedź burzy. Wydawało

się, że pasmo górskie rozdziela dwie strefy pogody i że właśnie znaleźliśmy się po tej burzowej stronie. Zacząłem wypatrywać powozu, który miał mnie zawieźć do hrabiego. Z każdą chwilą spodziewałem się, że w mroku migną światła lamp, lecz dokoła zalegała tylko ciemność. Jedynym blaskiem były drżące płomienie naszych latarni; w ich świetle para z umęczonych, niemal zajeżdżonych koni unosiła się białą chmurą. Piaszczysta droga bielą już przed nami, ale nie było na niej najmniejszego śladu powozu. Współpasażerowie opadli na siedzenia z westchnieniem ulgi – westchnieniem, które wydało mi się drwiną z mojego rozczarowania. Właśnie zastanawiałem się, co począć, gdy woźnica spojrzał na zegarek i powiedział coś do pozostałych. Mówił tak cicho, że z trudem dosłyszałem jego słowa, ale wydawało mi się, że powiedział:

– O godzinę za wcześnie.

Potem zwrócił się do mnie łamaną niemczyzną, jeszcze gorszą od mojej, i oznajmił: – Nie ma żadnego powozu. Najwidoczniej nie jest pan jednak oczekiwany. Pojedzie pan dalej, do Bukowiny, i wróci jutro albo pojutrze. Lepiej pojutrze.

Ledwie to powiedział, konie zaczęły rzeć, prychać i miotać się tak gwałtownie, że woźnica musiał je powstrzymywać z całych sił. Wtedy, pośród krzyków chłopów i nerwowego, niemal odruchowego kreślenia znaku krzyża przez wszystkich dokoła, od tyłu nadjechał powóz zaprzężony w cztery konie. Wyminał nas i zatrzymał się obok dyliżansu. Gdy światło naszych lamp padło na konie, zobaczyłem, że są smoliście czarne i wyjątkowo rosłe. Powoził wysoki mężczyzna z długą brązową brodą i w wielkim czarnym kapeluszu, który zdawał się skrywać jego twarz; zdołałem uchwycić jedynie błysk niezwykle jasnych oczu. Gdy zwrócił się w naszą stronę, w świetle lamp wydały się czerwone.